

Dzień zerowy

Rozdział pierwszy – w którym miniaturowy jednorożec i jego pozłacana żona witają Artura w biurze, a potem robi się tylko dziwniej

*Bez względu na to ile człowiek ma w kasie,
Niech ma humor, i niech pcha się,
Gdy go opuści radość życia i krzepa,
To gość przepadł, bo nie umie żyć!*

*Gdybym wciąż stękał i przeklinał dolę podłą,
To by na pewno w życiu mi się kiepsko wiodło,
A mnie w to graj, że mam na ziemi raj,
I żyje mi się, że choć buzi daj!*

*Gdybym wciąż stękał i przeklinał dolę podłą,
To by na pewno w życiu mi się kiepsko wiodło,
A mnie w to graj, że mam na ziemi raj,
I żyje mi się, że aż buzi daj!*

Adolf Dymsha – „A mnie w to graj!”

Ewolucja biur adaptacyjnych, zarówno jako budynku, jak i struktury, była długa i bolesna.

Pierwsza placówka tego typu, utworzona w Marsylii, została pieczołowicie zaplanowana, postawiona za kupę kasy i solidnie rozreklamowana. Okazała się klapą, nieprzygotowaną ani na wysyp chętnych, ani na związane z tym problemy, ani na potencjalne zagrożenia. Skończyło się tak, że została szybko zmarginalizowana, a następnie zamknięta. Potem postawiono następną, w Detroit (ze względu na oczekiwaną popularność wśród bezrobotnych, nader licznych w tym podupadającym mieście), trochę lepszą, jeśli chodzi o warunki życia, ale ponownie ktoś dał płamę. Efekt był taki, iż po mniej więcej trzech napadach gangów oczywista stała się konieczność załatwienia sobie przez biura własnej ochrony. Przy czwartej tego typu placówce, która przez długi czas wydawała się być idealna w każdym calu, szybko wybuchł skandal, gdy kontrola odkryła, że eliksiry ponifikacyjne w tajemniczy sposób wypływają z biura. Discord jeden wie, czy do FOL, do POZ, na czarny rynek, czy może po prostu czwarte biuro po przyjacielsku dzieliło się zapasami z piątym, szóstym i siódmym. Nigdy nie udało się tego odkryć.

I tak to szło, od problemu do problemu, zarówno błahych, jak i poważniejszych. Naprawdę trudno uwierzyć w to, ile czasu minęło, zanim personel sprzątający zastrajkował i zażądał zaprojektowania łazienek dla świeżych konwertytów, którzy mieli często problemy nawet z chodzeniem, a co dopiero z higienicznym załatwianiem się (było to krępujące zarówno dla sprawców nieszczęścia, postronnych ofiar, jak i dla tych, co mieli to potem sprzątać). Sporo czasu też minęło, zanim pojęto choćby problem groźby ataku terrorystycznego Frontu Obrony Ludzkości, który okazał się być katalizatorem rozwoju

systemów bezpieczeństwa. Ba, nawet fakt, że stół do ponifikacji nie musiał być montowany na sztywno w pokoju ponifikacyjnym i mógł być łatwo zastąpiony łóżkiem szpitalnym, nie został zauważony od razu. Każde ulepszenie, oczywiście, z reguły oznaczało konieczność zatrudnienia kolejnych osób.

Warszawskie biuro było osiemdziesiątą czwartą placówką tego typu na świecie i czwartą w Polsce, gdzie wyprzedziły je biura z Katowic, Szczecina i Krakowa. Zawierało szereg udogodnień, jak na przykład szeroko chwalony „pokój pobudek”, wyposażony w neutralizatory magii, głośniki sączące z siebie muzykę relaksacyjną, obite materacami ściany czy spore lustro, mające zapewnić wszystkim świeżo sponifikowanym pacjentom komfortowe i łagodne pierwsze minuty nowego życia, tak by dostali szansę dokładnego zobaczenia nowych ciał i pierwszą lekcję chodzenia bez ryzyka uszkodzenia się. Z innych nowinek warto było też wspomnieć o planach budowy pomieszczenia teleportacyjnego, ułatwiającego ruch między biurem a Equestrią, nowocześnie wyposażonej świetlicy, całym skrzydle przeznaczonym tylko na sale lekcyjne dla ludzi i nowokuców. Ostatnie, lecz nie mniej ważne, to te nieszczęsne toalety dla świeżo sponifikowanych, będące prawdopodobnie najdroższymi kiblami na świecie, nie licząc złotych ubikacji arabskich szejków i wschodnich oligarchów.

* * *

Całą Warszawę otulił już biały śnieg. Ku rozpaczy kierowców, a ku radości dzieci i osób młodych duchem, przyszedł on w terminie dość tradycyjnym – na początku grudnia. Niektórzy twierdzili, że tak wczesne zimy są winą (bądź zasługą, w zależności od punktu widzenia) pojawienia się Equestrii i jej wpływu na klimat. Część wspominała coś o zmianach klimatycznych, cyklach, regulacjach i tym podobnych rzeczach. Reszta z reguły zaś zamiast o zimie dyskutować, narzekała na nią, przedzierając się przy tym przez zaspy, odśnieżając podjazdy i nosząc kurtki, czapki i szaliki o łącznej masie niemalże przekraczającej ich własną. Nieliczne wyjątki, najczęściej w wieku poniżej dwunastu lat, preferowały z kolei lepienie bałwanów, rzucanie się śnieżkami i wpychanie w zaspy najmniej popularnych kolegów, kujonów i tym podobnych towarzyszy życia szkolnego.

Artur Stern należał obecnie do trzeciej grupy. Mamrocząc pod nosem o „zimie zaskakującej kierowców” i starając się coś zobaczyć mimo wiatru wiejącego mu w oczy, pokonywał właśnie ostatnie metry dzielące go od warszawskiego biura adaptacyjnego. Zdecydowanie rzucało się w oczy – nawet pomijając rozmiar, w identyfikacji pomagały spore maszty z flagami Equestrii i Polski, stojące niedaleko wejścia. Albo chociażby wielki, radosny napis z nazwą ośrodka, tkwiący na wysokości pierwszego piętra, ozdobiony podobizną księżniczki Cadance.

Otulony w kurtkę mężczyzna z plecakiem wiszącym mu na ramieniu dopadł wreszcie do drzwi. Czując zalewającą go falę ulgi, pchnął je i szybko wszedł do środka. Jego wzrok od razu padł na całkiem spore biurko, znajdujące się po przeciwległej stronie recepcji – problem w tym, że wyglądało na nieobsadzone.

Chociaż... coś się na nim poruszyło. Było granatowe, z czymś szarym na wierzchu i z tej odległości, przy tkwiących jeszcze w oczach łzach wyciśniętych przez mróz, wyglądało na średniej wielkości kota. Stern zdjął z głowy czapkę, ujawniając światu krótkie, czarne włosy i niepewnie zrobił kilka kroków w stronę biurka. Tajemnicza istota znieruchomiała i obróciła głowę w jego stronę. Jeszcze kilka kroków i...

– Z góry wyjaśniam. Miałem magiczny wypadek, odrobinę mnie to skurczyło, a amulet pozwalający mi na utrzymanie normalnego wzrostu niefortunnie się rozładował. W czym mogę pomóc? – Dopiero z tej odległości i po tym wyjaśnieniu (udzielnym, swoją drogą, nader mało radosnym tonem) młody mężczyzna dostrzegł, że ma przed sobą niewielkiego jednorożca o szarej grzywie. Gapił się, co jego rozmówca musiał dostrzec. – Dzisiaj robię za recepcjonistę. Jestem Fire Tern. I jeszcze raz, mogę w czymś pomóc? – powtórzył kuc, starannie akcentując ostatnie słowa.

Artur otrząsnął się z szoku. „Niezłe pierwsze wrażenie”, pomyślał lekko zirytowany. Z drugiej strony, nie mógł się spodziewać, że będzie go obsługiwać miniaturka.

– Ahem... Jestem Artur Stern. Chciałem się zapisać na ponifikację – odpowiedział szybko, by nie rozdrażniać malca.

Zdziwił się lekko, nie widział nigdzie żadnej ochrony, a chyba nikt by nie zostawiał miniaturowego kuca samego w pomieszczeniu tuż obok wejścia? Pewnie były tu jakieś systemy alarmowe, kamery i tego typu rzeczy, ale tak szczerze, to dużo słyszał o ochroniarzach w biurach i dziwił go ich brak w tym pokoju.

– Ponifikacja... dobrze. Proszę w takim razie wypełnić to podanie... – Otoczona magiczną, złocistą aurą kartka pofrunęła w jego stronę. Zaraz dołączył do niej też długopis. – Shadow? – Malec podniósł nieco głos. – Jak pan Stern skończy, to zabierz go do pokoju prawdy. Ja zawołam w tym czasie Jeshi. – Artur zdziwił się po raz kolejny. Do kogo on mówił?

Odpowiedź nadeszła dość szybko. Dopiero teraz człowiek dostrzegł, że nad biurkiem nie ma sufitu, co łączyło pomieszczenie bezpośrednio z pokojem wyżej... z którego zeskoczył ubrany w lekką, połączoną zbroję biały pegaz z zieloną grzywą, zgrabnie lądując obok nich. Artur prawie połknął własny język z wrażenia. U boku przybysza dyndała lekko zaokrąglona, przystosowana do kopyta tonfa.

– Spoko. Leć po żonę. Ja w tym czasie zadbam, by nasz gość się nie nudził. Clash dalej ma na nas oko, jakby co – rzucił niedbałym tonem pegaz, obrzucając badawczym wzrokiem nowego gościa, a potem zerkając na małego jednorożca. – Nie potrzebujesz może, by ktoś cię zaniósł? Wiesz, na tych krótkich nóżkach trochę ci może zająć, zanim dojdiesz... no, wiesz. Gdziekolwiek – dodał wyraźnie złośliwym tonem. Tern równie wyraźnie zaczerwienił się ze złości.

– Poradzę sobie – burknął, jego róg załśnił, a jego samego otoczyła złota powłoka zaklęcia. Artur w osłupieniu patrzył, jak niewielki kuc dostojnie lewituje siebie samego w

kierunku wzmocnianych drzwi łączących recepcję z resztą budynku, wstukuje na klawiaturze dostępowej jakieś hasło, po czym opuszcza pokój.

Widok był co najmniej komiczny.

– Skończyłem – zakomunikował Shadowowi, dalej wyszczerzonemu i najwyraźniej zadowolonemu z siebie. – Pan... Shadow, tak?

– Shadow Sky – poprawił go pegaz. – A teraz zapraszam do naszego słynnego... pokoju prawdy! – Ostatnie słowa padły z niewyobrażalnym wręcz namaszczeniem i dramatyzmem w głosie, zupełnie jakby Stern mógł nie wyjść żywy z tego pomieszczenia...

* * *

W gruncie rzeczy – mógł nie wyjść żywy. W końcu wypadki się zdarzają, mógł na przykład potknąć się i uderzyć o coś głową albo być terrorystą-samobójcą. Pomijając jednak tego typu mało prawdopodobne rzeczy, najgroźniejsza w pokoju prawdy była jego nazwa.

Słynny „pokój prawdy” był prawdopodobnie najbezpieczniejszym miejscem w całym biurze. Służył jako przedłużenie recepcji, pozwalając kandydatowi do ponifikacji na dokończenie formalności, a załodze biura – na sprawdzenie, czy aby nie jest on niebezpieczny lub wrogo nastawiony.

Cały pokój był podzielony na dwie części – dla przesłuchującego i przesłuchiwanego. Obu oddzielała od siebie ścianka, umożliwiając im komunikację tylko przez szybę, a w razie konieczności oferując z boku drzwi, otwierające się jednak tylko od strony biura. Żeby nie wyglądało to zbyt groźnie, ściany były pomalowane jasnymi, radosnymi kolorami, a dla oczekujących na przybycie prawdomówcy (czyli Equestrianina wyszkolonego w wykrywaniu kłamstw, nieścisłości i groźnych zatajeń) przygotowany był fotel i stół z gazetami.

Na początku tego typu procedury nie istniały. Dopiero po pewnym czasie, gdy Equestria zorientowała się, jak łatwym celem dla terrorystów stały się jej biura, postanowiono utworzyć specjalny etat dla pracownika, którego jedynym zadaniem miało być pilnowanie, by do ośrodka nie trafił żaden napastnik planujący atak od środka. Następnie dodano mu własny pokój, zaprojektowany specjalnie dla zapewnienia mu bezpieczeństwa, a jeszcze potem – przeniesiono tutaj wypełnianie większości dokumentów, jakich potrzebował do pobytu w ośrodku i do ponifikacji pacjent.

Czyniło to recepcję pomieszczeniem dużo mniej ważnym, ale zwiększało stopień bezpieczeństwa. Liczba wrogich agentów, przestępców chcących uciec do Equestrii czy oszustów chcących żerować na biurze, by kilka dni pomieszkać w luksusie, a potem się wynieść, znacząco zmalała. Nieliczni próbowali oszukać prawdomówców, ale rzadko im się to udawało. Ciągłe zdarzały się problemy, jak chociażby ze słynnym w Polsce Janem Zaprugiem, pacjentem, który regularnie (i, według opinii ekspertów, szczerze) twierdził, że chce się sponifikować, uczęszczał przez jakiś tydzień na zajęcia, a potem zniknął, ale nie były one na tyle poważne, by wprowadzano dalsze zabezpieczenia.

* * *

– Czemu pan Tern był taki rozdrażniony? – zainteresował się Stern, poprawiając się nieco na fotelu. Wreszcie zdjął kurtkę i, czekając na przyjście prawdomówcy, starał się choć odrobinę zrelaksować. Nie pomagał mu w tym fakt, że Shadow Sky właśnie badał jego plecak, w którym młody mężczyzna trzymał niezbędne dla siebie rzeczy. Ubrania, kilka bibelotów... nic takiego, ale miał jakąś irracjonalną obawę, że gwardzista może znaleźć coś podejrzanego.

– A... duperele. Amulet na to jego skurczenie mu zdechł koło południa, żona chce go wysłać na dietę, a do tego córka nie dawała mu spać w nocy, akurat gdy zepsuł mu się ekspres do kawy. Normalne... sprawy... każdego... szczęśliwego... żonkosia... – mówił pegaz coraz wolniej, przeglądając resztki rzeczy Artura.

Już na początku doszli do wniosku, że ubrania i bielizna nie stanowią zagrożenia terrorystycznego, a niedługo później zgodzili się, że dwie książki prawdopodobnie nie są nielegalne, nawet jeśli są kryminałami o jakimś detektywie z Baker Street uzależnionym od tytoniu. Teraz zostawało im coraz mniej rzeczy do sprawdzenia.

– Jestem! Już jestem... – Z drugiej strony ścianki przedzielającej pokój w połowie dobiegł ich młodo brzmiący, damski głos. Gdy Artur zerknął na szybkę, dostrzegł przez nią niewielką zebra z czarną grzywą i złotymi paskami. Uśmiechała się nerwowo, zajmując swoje miejsce. – Shadow, kończysz już?

– Jup. O ile ten pluszowy lew nie jest wypakowany materiałami wybuchowymi, a na to nie wygląda, to nie stanowi raczej zagrożenia. Pamiątka, hm? O, ale za to ten pasek wygląda mi na broń masowej zagłady. – Pegaz wyciągnął wymieniony obiekt i przyjrzał mu się dokładnie. – Duchy tysięcy ofiar wrzeszczą z tego paska tak bardzo, że nawet ja jestem w stanie to usłyszeć... albo mam problemy psychiczne – zaczął się zastanawiać na głos, przyglądając się klamrze z nazwą producenta.

– Albo masz kiepskie poczucie humoru – podsumowała go w końcu zebra, nie spuszczać wzroku z człowieka. Artur spróbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy, dopiero po chwili pojmując, jak ogromny błąd czyni. Te oczy byłyby w stanie wyssać mu duszę, gdyby ich właścicielka miała taką ochotę, a teraz ich spojrzenie wręcz przeszywało go na wylot. Wzdrygnął się. – Proszę zająć miejsce, panie... panie Stern. I proszę o mówienie prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Może pan poczuć dreszcze, nudności, zawroty głowy, swędzenie czy odnieść wrażenie bycia obserwowanym, ale nie należy się tym przejmować, to zwykłe objawy bycia badanym przez duchy.

Gdy człowiek usłyszał ostatnie słowo, aż zerknął na pegaza, jakby chcąc się upewnić, że to nie jest dowcip. Ten zauważył to i wzruszył skrzydłami.

– Szamanka.

No cóż, to miało sens. Co prawda Artur nigdy nie słyszał, by zebra pełniła rolę prawdomównicy, z reguły zajmowały się tym albo jednorożce (używające specjalistycznych zaklęć), albo inne kuce, mające talent do wykrywania prawdy, ale moc kontrolowania duchów zapewne byłaby w stanie zapewnić takie możliwości.

Klacz przymknęła oczy, ale niewiele to pomogło, bo Stern wciąż czuł się obserwowany. Ba, i to z każdej strony! Rozglądał się nerwowo, jakby spodziewając się, że zaraz gdzieś obok niego zmaterializuje się jakaś potępiona dusza, ale nie wyglądało na to, by miało to nastąpić. Zamiast tego zebra zaczęła szybko rzucać pytania, głosem tak spokojnym, że aż wzbudzał nerwowość.

– Imię?

– Artur – odpowiedział szybko, ponaglony dziwnym uczuciem z tyłu głowy.

– Nazwisko?

– Stern.

– Urodzony w?

– W Płocku.

– Wiek?

– Dwadzieścia pięć lat.

I tak to szło, szybko, ze słowami przerywanymi jak piłeczka w grze w ping-ponga. Tak jak przed chwilą przeorano jego plecak, tak teraz najwyraźniej zajmowano się jego duszą i umysłem – uczucie obcej obecności nie zniknęło, a zebra wydawała się tak skoncentrowana na tym, co robiła, że mężczyzna nie zdziwiłby się, gdyby zaraz zaczęła świecić z nadmiaru magii czy czegoś w tym guście.

W końcu doszli jednak do najważniejszych pytań.

– Znajomi w biurze?

– Jeden pacjent, Paweł Radziak. Z tego, co wiem, to ma mieć dziś ponifikację.

– Powiązania z organizacjami terrorystycznymi, antykuczymi, Ponifikacją dla Odrodzenia Ziemi lub pokrewnymi grupami?

– Żadne.

– I zdaje sobie pan sprawę, że ponifikacja jest nieodwracalna i po jej wykonaniu nie będzie możliwości przywrócenia pana do poprzedniej formy?

– Tak.

Znudzony Shadow, wciąż siedzący sobie w kącie (i przeglądający książkę o Sherlocku Holmesie, wyciągniętą z plecaka Artura), uniósł głowę, gdy Jeshi wreszcie otworzyła oczy i wyprostowała się. Odkasznęła mocno.

– No to w takim razie chyba na tyle. Niczego podejrzanego nie wyczułam. Shadow, proszę cię, zanieś to do administracji. – Zgarnęła z biurka obok siebie kilka kartek papieru, podając je przez otwór w szybie.

Artur poczuł się niekomfortowo, gdy zdał sobie sprawę, że były one wypełnione, a nie zauważył, by Jeshi choćby tknęła narzędzia do pisania.

– Możesz iść dalej. Jeśli ktoś się jeszcze dziś zapisze i uda się skompletować grupę dziesięciu nowych osób, to zorganizujemy jeszcze dzisiaj spotkanie integracyjne. O tym, kiedy dla grupy zacznie się kurs, będą mówić na spotkaniu.

Znalezienie drogi do pokoju nie było trudne – wystarczyło wyjść z pokoju prawdy (znajdowało się tam co prawda przejście w głąb biura, ale do części administracyjnej, z reguły niedostępnej dla pacjentów), przejść przez recepcję (w której znowu tkwił naburmuszony Tern, siedzący obok elektronicznej niani), przejść przez otworzone przez recepcjonistę drzwi do ośrodka – i już był w samym biurze, miejscu, gdzie spędzi kolejne dwa tygodnie.

Korytarze były puste, a sam Artur nie orientował się jeszcze w rozkładzie pomieszczeń, schodów i wind, ale miał do pomocy cudowny wynalazek – terminale, gęsto rozsiane po ośrodku, by ułatwić ludziom komunikowanie się, przesyłanie informacji i odnajdywanie dróg. Wystarczyło podejść do jednego z nich, wklepać osobisty kod, jaki się otrzymało przy rejestracji i urządzenie od razu przestawało wyświetlać komunikaty biurowe i wyświetlało interfejs użytkownika. Zaledwie kilka kliknięć w dotykowy ekran później Artur wiedział już, że jego pokój znajduje się na drugim piętrze, w skrzydle centralnym. Korzystając z okazji, od razu wysłał też Pawłowi Radziakowi wiadomość o tym, że już się zapisał na ponifikację i gdzie znajduje się jego pokój.

Chwilę później, z czego większość czasu zajęło mu sprawdzenie na konsoli, gdzie dokładnie ma iść, był już w swoim pokoju. W biurach adaptacyjnych były one z reguły kilkusobowe, ale w tym konkretnym wypadku został zaprojektowany, by pomieścić dwie osoby. Z tego, co Artur zauważył, na razie nie miał żadnego współlokatora – wnętrze pozostawało sterylnie czyste, bez żadnych śladów życia. Ot, tylko dwa łóżka, szafa, terminale, biurka... nawet miał tu całkiem sporo miejsca. Rozłożył się na wybranym przez siebie wyrku, upchał ubrania w schowku i po kilku minutach zastanawiania się, co by tu porobić, zainteresował się swoim terminalem.

Terminale z pokoi dla pacjentów różniły się od tych na korytarzach. Przede wszystkim były sporo mniejsze, dawało się je też wyjąć ze ściany, by, na przykład, usiąść z nimi na łóżku czy przy biurku. Trochę przeszkadzał fakt, że dalej pozostawały połączone kablem z gniazdem w ścianie, ale i tak było to wygodniejsze niż stanie przy nich. Do tego dawało się je też wyłączyć, by nie przeszkadzały po nocach i w innych chwilach, gdy ma się ochotę na trochę spokoju i intymności.

Artur włączył swój terminal i od razu się zalogował. Na ekran wyskoczył szereg ikon, od map, rozkładów zajęć i komunikatorów przez aplikację przekazującą wiadomości biurowe po budzik i małą biblioteczkę e-booków poświęconych Equestrii oraz ponifikacji. Ba, zauważył chyba nawet jedną lub dwie proste gry. Nie widział za to niczego, co wskazywałoby na łączność z internetem.

Pewnie bawiłby się jeszcze chwilę, ale z boku ekranu zamigotała mu ikonka wiadomości. Odebrał.

„PRadziak: Czekamy w świetlicy.”

W pierwszej chwili zastanowił się, czemu jego przyjaciel pisze w liczbie mnogiej. W drugiej chwili stwierdził, przełączając na mapę, że nie widzi świetlicy. W trzeciej chwili odpisał, nie chcąc marnować czasu na niepotrzebne myślenie.

„AStern: Jacy my i jakiej świetlicy? Nie widzę niczego na mapie.”

„PRadziak: Sorry. Jadalnia poza posiłkami robi za świetlicę. I zobaczysz.”

Nie pozostało mu w tej sytuacji nic innego, jak odłożyć terminal i ruszyć w drogę powrotną na parter.

Jadalnia była prawie pusta. Trzy siedzące w środku osoby gubiły się w tak sporej przestrzeni – dwójka ludzi siedzących z boku i rozmawiających ze sobą oraz pomarańczowa pegazica, tkwiąca przy biurku przy wejściu i zaczytująca się jakąś książką. Wchodząc, Artur zdołał dostrzec tytuł – „Pięćdziesiąt twarzy Greya”. Wzdrygnął się nieco, na wszelki wypadek zrezygnował z wszelkich planów zagadania do nieznajomej klaczy i czym prędzej ruszył w stronę Radziaka i jego towarzysza.

Albo raczej – towarzyszki, co Artur zauważył jednak dopiero po zbliżeniu się, bo nieznajoma siedziała tyłem do niego i w pierwszej chwili nie rozpoznał płci. Zwolnił nieco kroku, zdumiony, ale w tym momencie Paweł go dostrzegł, a na jego twarz wypełził lekki uśmiech. Widząc to, jego koleżanka odwróciła się, by też na niego spojrzeć.

„Ale ona ładna”, pomyślał Artur, podchodząc bliżej. „Naprawdę ładne włosy, sympatyczny uśmiech...” Również się do nich uśmiechnął, stając wreszcie obok. „I chyba w naszym wieku. Aż szkoda, cholera, że pewnie zostanie koniem”, zakończył wreszcie swoje przemyślenia uświadomieniem sobie tego smutnego faktu.

– No hejka! Już myślałem, że nie zapiszesz się przed wysłaniem mnie do Equestrii. Z całej mojej grupy została tylko piątka ludzi, więc jeszcze dwa dni i... – przerwał w pół słowa, jakby sobie o czymś przypomniał. – Beata, to Artur, opowiadałem ci o nim. Artur, to Beata – przedstawił ich sobie szybko Paweł.

Stern zajął miejsce obok nowej znajomej, czując się przy tym nieco niepewnie. „To Beata” dostarczyło, jak na jego gust, za mało informacji. Czy to była jego siostra? Dziewczyna? Nie kojarzył, by jego kolega kiedykolwiek coś wspominał o kobietach, od kiedy, ponad rok temu, wbrew swojej woli dowiedział się od ówczesnej partnerki, że powinni zostać przyjaciółmi. Paweł nigdy nie miał zbyt aktywnego życia towarzyskiego, a liczbę jego dobrych znajomych dało się policzyć na palcach jednej ręki, więc Artur odruchowo czuł pewną podejrzliwość.

– Miło mi cię poznać. Szaniec. Beata Szaniec, znaczy się – powiedziała z uroczym uśmiechem dziewczyna, podając mu dłoń na przywitanie.

– Myślałem już, że nie zdążysz się zapisać przed moją ponifikacją. – Paweł bezradnie rozłożył ręce. – Strasznie długo ci to zajęło.

– Powody, niepewność, inne rzeczy do załatwienia... no i bądźmy szczerzy, zaskoczyłeś wszystkich tą nagłą decyzją. – Artur machnął ręką, poprawiając się nieco na krześle. – I też miło mi cię poznać – dodał jeszcze szybko.

– Powody? – zainteresowała się Beata.

– Errrm... tak. Powody spowodowane przez inne powody. Długo by gadać, a do tego to jeszcze prywatne sprawy... Wybacz – odpowiedział przepraszającym tonem. Cisza, która zapadła wystarczyła, by poczuł się nieswojo. Normalnie by wiedział, o czym pogadać ze swoim najlepszym przyjacielem, ale obecność kogoś innego, nieznanego, trochę mu psuła koncepcję. – Więc... jak się poznaliście? – spróbował zagaić.

– Och, to proste. – Nie było dla niego niczym zaskakującym, że na pytanie odpowiadała dziewczyna. Paweł pewnie dopiero zbierał myśli. – Gdy się zapisałam do biura, to na stołówce zajęłam miejsce obok niego. Potem już jakoś poszło... jak zaczął się odzywać z własnej woli. – Posłała Radziakowi swój uśmiech. Ten spłonął się lekko, ale nic nie odpowiedział. – Był tu już tydzień, więc chciałam go wypytać o kilka rzeczy.

– O, czyli teraz dopiero będziesz zaczynała drugi tydzień? – upewnił się Artur po kilku szybkich rachunkach w głowie. Skoro Paweł za niedługo ma mieć ponifikację... Beata pokręciła głową.

– Na razie kończę pierwszy. Zanim zebrało się czternastu chętnych do ponifikacji, minęły dwa dni, więc jestem nieco... opóźniona. Z reguły dzieje się to szybciej, co najmniej jedna grupa na tydzień, ale wtedy miesiąc się zaczynał – dokończyła spokojnym tonem. Stern nie zrozumiał ostatniej uwagi, więc zerknął na Pawła.

– Pieniądze z wypłaty. Gdy ktoś chce się ponifikować, przedtem z reguły lubi sobie pobalować – wyjaśnił. – No, więc... ahem... Beata ma mieć ponifikację w pierwszym tygodniu nauki, więc będzie ją miała pewnie jutro albo pojutrze rano. Specjalnie prosiła o to, by było to jak najszybciej.

– Skoro i tak wszyscy się zmieniamy, to po co mam czekać? Zwłaszcza że dzięki temu powinnam przynajmniej nauczyć się chodzić, zanim opuszczę biuro. No i wszyscy instruktorzy chodzenia będą mieli przez kilka dni tylko mnie z mojej grupy – dodała dziewczyna. – I tak swoją drogą, obecna grupa też już długo czeka, że trzy dni dłużej niż zwykle, ale teraz zbliżają się święta. Widziałam, że kilku pracowników się zakładało, ile jeszcze osób się zapisze...

Ich rozmowa została przerwana nagle i brutalnie. Cała trójka tak się zagadała, że zignorowała fakt, iż pomarańczowa pegazica, siedząca do tej pory spokojnie przy biurku, „pilnująca” świetlicy i czytająca przy tym książkę, nagle do nich podeszła. Z siłą tak wielką, że Artur nie zdziwiłby się, gdyby rozwalila stół, prasnęła „Pięćdziesięcioma twarzami Greya” o blat.

– Weźcie to ode mnie. Nie wiem, co z tym zrobicie, nie obchodzi mnie to. Spaliłabym to coś, ale nie chcę mieć z tym więcej kontaktu – mówiła cicho i z naciskiem. W jej oczach płonęła nienawiść, która w serialu dla dzieci byłaby w stanie zapewnić jej posadę głównego złego. – Za tworzenie takich rzeczy wasz gatunek powinien zostać zniszczony. – Następnie, jak gdyby nigdy nic, obróciła się i wróciła do biurka. Stern wciąż czuł jednak na sobie jej wzrok.

– Co się...

– Ach... to Candy – westchnęła Beata. – Trochę... – Paweł dźgnął ją szybko palcem i zmarszczył brwi. Jakąkolwiek niemą wiadomość przesyłał dziewczynie, ta zrozumiała. – Oj, no dobra. Chodź, Artur, przejdziemy się po biurze. Pokażemy ci, co i jak, i tak dalej. – Chwyciła książkę i szybko schowała ją do torby, którą miała przy sobie. Dopiero wtedy wzrok pegazicy nieco złagodniał, ale dalej wodziła za nimi oczami, jakby chciała ich co najmniej pożreć, więc szybko opuścili świetlicę.

* * *

Ponifikacje w większości biur adaptacyjnych, pomijając te znajdujące się bliżej Bariery (gdzie znacząco zwiększano tempo pracy, by skonwertować jak najwięcej ludzi przed zagarnięciem danego terenu przez equestriański wymiar), przeprowadzano dwa razy dziennie – zaraz z rana oraz po południu, zawsze tuż przed posiłkami, by nowokuc mógł niemalże od razu przystąpić razem z przyjaciółmi do nieoficjalnej uroczystości pierwszego posiłku. Z reguły od wejścia do pokoju ponifikacyjnego do wkroczenia (z pomocą personelu) do jadalni mijała mniej więcej godzina.

Procedura ponifikacji miała spory wpływ również na sposób zorganizowania pacjentów. Grupy były na tyle liczne, by można było je sponifikować w tydzień przy zachowaniu dwóch konwersji dziennie na jeden pokój ponifikacyjny – co za tym idzie, największy wpływ na ich liczebność miała liczba tego typu pomieszczeń.

Oczywiście, teoria teorią, a praktyka praktyką. Szybko okazało się, że konwersje przeprowadzane są za wolno, co prowadzi do zajmowania wszystkich dostępnych pokoi, tłoku i problemów z zaopatrzeniem. Lekarze przeprowadzający ponifikacje pracowali coraz dłużej, nauczyciele musieli obsługiwać za duże grupy i tak dalej. W końcu każde biuro dostało dozę autonomii – dla przykładu, biura adaptacyjne w Nowym Jorku, gdy problem zaczął narastać, przestały przyjmować ludzi prosto z ulicy, rezerwując konkretne terminy na przyjęcie. Z kolei w Rzymie biuro zainwestowało w nowe pokoje dla pacjentów, co ostatecznie jednak doprowadziło tylko do zatłoczenia i horrendalnych kolejek, przynajmniej do momentu dobudowania pokoi ponifikacyjnych i poszerzenia personelu.

Ostatecznie najlepiej przyjął się tak zwany „standard tokijski” – zachęcanie pacjentów do umawiania się przez telefon przy jednoczesnej zgodzie na przyjmowanie pacjentów z marszu, zwiększenie dostarczanych zapasów eliksiru „na specjalne wypadki” czy przedłużenie dnia pracy lekarzy. Ujednolicono też wygląd rozkładu zajęć i ilość wolnego czasu. W każdym biurze najważniejsze było jednak, przede wszystkim, wybudowanie pokoju teleportacyjnego, mającego zapewnić bezproblemowy transport skonwertowanych grup do Equestrii w celu jak najszybszego zwalniania ich pokoi.

* * *

– Myślicie, że już jesteśmy dość daleko...? – Mimo że zaszli aż na pierwsze piętro, Radziak wciąż mówił szeptem.

– Tak, tu już nas raczej nie usłyszysz... O, a tu będziesz mieć lekcje o historii najnowszej Equestrii. – Beata machnęła ręką w stronę jednego z pokoi. Artur wciąż nie był pewien, czy uciekli od pegazicy pod pretekstem pokazania mu biura, czy na odwrót. – A co do Candy, to nasza kucharka i opiekunka świetlicy, tak w skrócie. Bywa czasami wredna i ma ogromnego pecha do książek.

Korytarze wciąż były praktycznie puste. Zauważyli tylko kilka osób, ale skończyło się to najwyżej krótkim przywitaniem i pójściem dalej. Przynajmniej tak było aż do momentu, gdy nagle zza rogu wychyliła się głowa białego kuca z zieloną grzywą, z troską wyczernioną z oczu i uszami postawionymi na sztorc.

– Ktoś coś mówi o Candy? Co znowu zrobiła? – zapytał pegaz, idąc od razu w ich stronę. Artur zatrzymał się jak wryty. Wyglądał jak Shadow Sky, ale głos wybitnie nie pasował. Do tego wydawał się być nieco bardziej kulisty.

– Spokojnie, tylko przeczytała bardzo złą książkę – spróbowała uspokoić go Beata. Nie wyglądało jednak na to, by ich rozmówca poczuł się tym pocieszony, bo położył uszy po sobie.

– Złą w sensie słabą, czy złą złą? – spróbował się upewnić.

– To drugie – westchnął ciężko Paweł.

– ...To ja idę po ciastka. I może czekoladę. Polubiła „Goplanę”. Narka. – Ledwo kuc się pożegnał, od razu zniknął im z oczu. Jedynie odgłos jego kopyt odbijał się od ścian, ale nawet on słabnął z każdą chwilą.

– Och... To nie był Shadow, prawda? – zapytał na wszelki wypadek Artur, dalej wbijając wzrok w miejsce, gdzie przed chwilą stał biały pegaz. Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie, to jego brat bliźniak, Sunny. Doktor i partner Candy.

– Mam nadzieję że uda mu się ją uspokoić. Wciąż pamiętam, jak pierwszego dnia, gdy tu byłem, skończyła czytać „Zmierzch”. – Radziak wzdrygnął się mocno. – Stwierdziła, że zemści się na gatunku ludzkim i na kolację zrobiła... coś okropnego – zamilkł, krzywiąc się jednak, jakby właśnie bardzo rozboleł go ząb, albo wręcz od razu wszystkie naraz.

– Em... w sensie, coś niejadalnego? Albo użyła czegoś.... obrzydliwego? – Artur poczuł się na tyle zafascynowany bólem, który pojawił się na twarzy kolegi, że postanowił dowiedzieć się czegoś więcej. Zwłaszcza że dziś im groziła powtórka.

– Nie, wszystko jadalne, zdrowe i tak dalej, tylko...

– Chodzi o wygląd? Albo może użyła...

– Nie chcę o tym mówić – uciął Paweł. – W tamtej sali jest biblioteka, powinna ci się przydać. – Machnął ręką w stronę kolejnych drzwi, by szybko zmienić temat. – Znaczy się, jeśli chcesz dowiedzieć się o Equestrii nieco więcej niż minimum, jakie tu ci wcisną. Zwłaszcza że i tak większość czasu poświęcają na integrację, przyjaźnie i tak dalej...

I wtedy po raz kolejny ich rozmowa została przerwana, tylko tym razem przez dźwięk dzwonka. Ułamek sekundy później korytarz zaczął się powoli wypełniać pacjentami i obsługą.

– Oho... Dobra, chłopaki, ja idę na zajęcia z gier zespołowych. Będę później, w razie czego zgadamy się przez terminale – rzuciła Beata, ruszając w stronę schodów.

– Ty nie masz zajęć? – zapytał dla upewnienia się Artur.

– Nie, spokojnie. W drugim tygodniu dają więcej czasu wolnego, zwłaszcza w godzinach przed ponifikacjami. Mamy jakąś godzinę do obiadu...

Wtedy koło nich przeszedł zbudowany z drewna pies, wiozący na swoim grzbiecie malutką, paskowaną chichoczącą radośnie pegazicę. Obok nich szła dumnie wyprostowana

Jeshi, z rzadka kiwając głową na przywitanie niektórym osobom. Co więcej, Artur mógłby przysiąc, że żrebaka przytrzymywały jakieś widmowe łapy.

– Spokojnie, na początku też byłem zdziwiony. – Paweł serdecznie poklepał go po plecach, to jest tak, że przez chwilę Stern był przekonany, że zaraz wypłuje płuca. Prawie już zapomniał, jak jego kolega mógł być wylewny, gdy w gronie rozmówców byli tylko jego najlepsi znajomi. Radziak wyszczerzył się. – No to jeszcze raz, witamy w biurze!

* * *

– No dobra, jak dziś z zakładami? – Fire Tern, wciąż w swojej miniaturowej postaci, beztrudnie sobie lewitował obok doktora Parandowskiego. Dopiero co odbębnił pracę w recepcji, amulet kończył się ładować, a Striped dobrze się wyspała w czasie swojej drzemki, więc był bardziej niż zadowolony.

– Większość postawiła po jednym bicie na kuca ziemnego lub jednorożca. Tylko Sunny i Shadow postawili na pegaza, a twoja żona postawiła na kryształowego jednorożca. No i oczywiście ty na kryształowego pegaza.

– Chciałbym wiedzieć, czemu wciąż na nie stawiamy... – mruknął jednorożec. – W końcu we wszystkich biurach na świecie na razie pojawiło się ich tylko kilkadziesiąt, ale Jeshi się uparła. A ty co wybrałeś?

– Ja? Och, nic. Po pierwsze, niezbyt wychodzi mi zgadywanie, w co zmieni się pacjent. Po drugie, nie mam ochoty na hazard. – Doszli wreszcie pod drzwi pokoju ponifikacyjnego. Starszy mężczyzna rozejrzał się. – Hm, Sunny’ego wciąż nie ma...

– Słyszałem, że uspokaja Candy, ale zaraz powinien być. W końcu nie zdarzyło mu się jeszcze spóźnić, prawda?

– Candy? Znowu coś ją zdenerwowało? – Parandowski poczuł, jak przechodzą go dreszcze. Może i miał swoje lata, ale ostatni raz, gdy pegazica się zdenerwowała, pamiętał do dziś. Chociaż może gdyby dodać do tamtej kolacji trochę pieprzu i papryki... – To zmieniam zdanie. Może się trochę spóźnić. Poczekamy. W końcu dziś została jeszcze tylko jedna ponifikacja i aż tak nam się nie śpie...

– Już! Już jestem! – Sunny był nieco zdyszany, ale wyraźnie promieniował ulgą. Drugi lekarz oraz Tern wyraźnie się rozluźnili, gdy to wyczuli. – „Goplana” to najlepsza czekolada na Ziemi, zawsze będę to powtarzał... – Podeszedł do terminala i aktywował go kopytem. – No dobra, to wysyłam Rocking Bellowi wiadomość, że może już wzywać Artura Radziaka. Szybko go zmienimy w pegaza, zgarnę wygraną z zakładów i mogę od razu iść nakupić za nią więcej czekolady.